



Numer trzeci

30.01.2008

Cena gazety: 1 zł.

Biadolenie (nie)kontrolowane, czyli o tym, czego Naczelna chciała oszczędzić Czytelnikowi... I o soczystej Lipie – czyli w co nam styczeń obrodził.

Nie dość, że obecny rok szkolny jest nieprzychylnie wręcz krótki, to wszystko wydaje się następować po sobie niemal tak niezauważenie jak kolejne kadry filmu.

Przedwczoraj siedziałam jeszcze za świątecznym stołem i z na wpół przyklejonym uśmiechem mordowałam się z kaczką i żurawinami, wczoraj był kameralny Sylwester, a za chwilę... Za chwilę wrócę do szkoły i z nietęgą miną rzucę w przestrzeń kotłujące się w głowie pytanie retoryczne *'Kiedy minęły te dwutygodniowe ferie, na litość Boską?'* (w chwilach najgłębszego zwątpienia rzucając opatrzenie inne, poprzecinkowe słowa). Pomruki aprobaty i westchnienia ani o cal nie pomniejszą bólu i corocznego, początkowego rozczarowania.

Wszystkimi górnymi i dolnymi kończynami broniłam się przed sobą, by moja wstępniakowa paplanina nie stała się w tym miesiącu zwykłym biadoleniem; co gorsza, biadoleniem o czasie, który wciąż płynie za szybko i który wciąż nie chce na nas czekać... A już nie daj Bóg o nowo-

rocznych postanowieniach, mocnym postanowieniu poprawy i stawaniu się lepszym. Niestety, już za późno.

Są we mnie pewne pokłady sceptycyzmu (nawet sceptycyzm w stosownych ilościach bywa organizmowi potrzebny) i uważam, że nowy rok może być dla nas co najwyżej motywacją do samoodnowienia – to, czy spełnimy noworoczne postanowienia zależy wyłącznie od nas tak samo, jak byśmy składali je w marcu czy listopadzie. Tyle tylko, że niespełnienie styczniowych obietnic może bardziej podgryzać nasze sumienie – każdy przecież chce zacząć nowy rok pozytywniej, lepiej. Cóż, możliwe, że jeszcze przez jakieś pół miesiąca będziemy tymi ludźmi, którzy potrafią w całej tej gonitwie pięknie przystanąć i spojrzeć na wszystko z jeszcze piękniejszym dystansem. Potem pewnie będzie nas jeszcze mniej, aż do zupełnego wkręcenia się w codzienność. Rutyna to jedna z tych najpaskudniejszych rzeczy, jakie mogą się w naszym życiu pojawić. Pozostaje mi tylko życzyć Wam i sobie, byśmy rutynę ko-

jarzyli bardziej ze składem Rutinoscorbinu niż swoim cotygodniowym, przerażająco przewidywalnym rozkładem jazdy.

Mam nieodparte wrażenie, że styczniowa Lipa wymaga od Czytelników szczególnego – a na pewno największego, jak do tej pory – „wgrzyzenia” się w treść artykułów. Dzięki feriom ten numer obrodził w parę dłuższych, może nawet domyslenia-i-zaangażowania-sklaniających artykułów. Znajdziecie coś o Szeffie Wszędoląza, poczytacie o ojcu chrzestnym rocka i humorzystym, niebanalnym panu J., poznacie jedną z tych ciężkich chorób, która dotyka wciąż zbyt mało osób niż powinna (Łysiakomania – dolegliwość bynajmniej nie pospolita), dowiecie się, co dokładnie kryje się za drzwiami niepozornej sali 202... Słowem: czytajcie, a znajdziecie. Życzę przyjemnego wgrzyzenia się w lipną lekturę. :)

Pierwszy raz w nowym roku, a jedną nogą już prawie w lutym –pozdrawiam.

En

■ Bo podróżowanie bierze się z potrzeby ducha

Dziś pod lupę wzięty został Pan Profesor Girguś – wszędolazowy Szef, nauczyciel religii, pilot – przewodnik, kierowca – mechanik, ale chyba przede wszystkim... Podróżnik z pasją. I właśnie z nim o Wszędolazie, ludziach, którzy tworzą wspomnienia, a także o niedocenianych zakątkach Lubelszczyzny i norweskich fiordach rozmawiali: Odlotowe Agentki i Romek.

Jak zaczęła się Pana przygoda z skróty - to jest normalne.

„Wszędolazem”?

„Wszędolaz” powstał tak naprawdę z potrzeby ludzi, którzy byli wtedy w szkole. Chcieli, żeby coś się działo i mogli spędzać wolny czas wspólnie. To była klasa 1C. Zorganizowaliśmy z nimi pierwszy wyjazd. I tak się zaczęło.

Czy pamięta Pan, jakiś szczególnie, niezapomniany dla Pana wyjazd?

Każdy rajd jest na swój sposób niezapomniany. Największą wartością tego wszystkiego są ludzie, którzy tam są. Każdy z nich jest inny, każdy wnosi do klubu coś od siebie. Wspólnie spędzamy czas i możemy poznać się tak naprawdę. Tworzą się wtedy relacje, które towarzyszą nam przez lata. Dziś klub tworzy kilkadziesiąt osób – niektórzy dawno skończyli już studia. Raz w roku – 10-11 listopada - mamy rajd, na który jedziemy wszyscy.

Czy zdarzyło się Panu zgubić podczas rajdu?

Pojęcie „zgubienia się” w ogóle nie istnieje. Jeżeli ktoś chodzi po górach wie, że „zgubić się” można jedynie wtedy, gdy trafi się w miejsce, z którego nie ma odwrotu i człowieka zastanie noc. To wtedy się zgubi. W momencie, gdy chodzi się szlakami nieoznaczonymi jest bardzo łatwo gdzieś odbić. Po pewnym czasie, gdy idziemy z mapą i kompasem, znajdujemy drogę za jakieś 200-300 metrów. Nie pamiętam, żebyśmy się kiedyś zgubili, a że czasem szukaliśmy drogi na

Jakie jest ulubione miejsce Klubu? Gdzie najbardziej lubicie jeździć?

Klub jest związany z pograniczem, z kulturą wschodu i z ludźmi, którzy tam żyją. To przede wszystkim Podlasie, Roztocze, Bieszczady, Beskid Niski, wszędzie tam gdzie stykają się różne kultury i religie. Świat ten powoli odchodzi w zapomnienie, zwłaszcza, że ze śmiercią ludzi, którzy pamiętają trudne czasy. A dlaczego wschód? Z powodu mieszkańców. Tam nikt nie zostaje sam. Nawet gdy siądziesz zrezygnowany pod sklepem, zawsze znajdzie się ktoś, kto cię przygarnie. Masz gdzie spać, co robić. I my wielokrotnie doświadczyliśmy takiego wsparcia. Wielu ludzi przyjmowało nas na nocleg, nie chcąc za to żadnych pieniędzy. Mamy tam również zaprzyjaźnioną szkołę.

Czy Klub utrzymuje kontakt z ludźmi poznanymi podczas rajdu?

Zawsze odwiedzamy ludzi, których poznaliśmy na rajdach. Mamy miejsca, do których możemy powrócić. Bardzo zaprzyjaźniona jest z nami parafia w Kostomłotach - znamy ojca Romana, który pracował w niej 40 lat. Jest to parafia greko-katolicka, która ocalała na terenach rosyjskiego zaboru. Ojciec Roman zawsze nas tam przyjmował.

Opowie nam Pan jakąś śmieszna sytuację, która miała miejsce na wyjeździe?

(śmiech) Takich sytuacji w ciągu

dnia jest po prostu z tysiąc. Takiego „żartu miesiąca” nie da się opisać. Są to takie sytuacje, które śmieszą, gdy się w nich uczestniczy.

Jakie ma Pan pseudonimy w Klubie? Bo o tym, że Pan Profesor takie ma, wiemy.

Nie (śmiech). „Szef” to bardziej określenie techniczne. Są różne sytuacje na trasie, spotykamy różnych ludzi. Nie każda z napotkanych osób musi wiedzieć, że jestem nauczycielem. Przewiska biorą się przede wszystkim z doświadczeń sytuacyjnych. Mamy m.in. Siostry Ksero, które są bardzo do siebie podobne.

Czy Pan Profesor od młodości podróżuje?

Pochodzę z Roztocza. Mamy w szkole kilka osób z pochodzących z tej krainy i marzy mi się stworzenie Towarzystwa Roztoczańskiego. To byłaby super impreza, bo jest nas wiele.

Podróżowanie bierze się z potrzeby ducha. Jedni mają np. zacięcie do gry w kosza, inni do jazdy na rowerze, a ja po prostu lubię chodzić, rozmawiać i spotykać ludzi. Każdy stworzony jest do czegoś innego. I bardzo dobrze, że każdy jest inny.

Które miejsce Pan Profesor poleciłby nam? Takie, które warto zobaczyć.

Bogactwo Lubelszczyzny jest tak ogromne, że nawet go nie pojmujemy. Przede wszystkim warto zobaczyć bardzo mało znany Wrzelowiecki Park Krajobrazowy, który swoimi walorami prze-

bija niekiedy Kazimierski Park Krajobrazowy. Jest jednym z ładniejszych w Polsce. Lubelszczyzna to tereny, gdzie jest nagromadzenie ciekawych rzeczy, których tak naprawdę nie znamy. Więc najlepiej zobaczyć i poznać to, co jest najbliżej - Parki Narodowe i Krajobrazowe.

Jest jakieś miejsce na świecie, które Pan Profesor chciałby zobaczyć?

Chciałbym pojechać do Norwegii - chciałbym zobaczyć fiordy. Takich marzeń jest jeszcze wiele, np. trasa: zacząć od morza, od Wolińskiego Parku, przejść się aż do Bieszczad, nie spieszyć się i zobaczyć wszystko na spokojnie.

Jak wyglądają spotkania „Wszędolaza”?

Tak naprawdę to maszyna, która ma tysiąc zębatek. Spotkanie zaczyna się o 16, o 19 trzeba iść do domu, a i tak chcielibyśmy zostać dłużej. Przyjdziemy, trzeba pogadać. Później są jakieś bieżące rzeczy i oczywiście trzeba pośpiewać. Chłopaki przygotowują pokazy slajdów. Na każdych zajęciach jest coś innego. Dostajemy zaproszenia na koncerty w szpitalach. Musimy się przygotować, a to wymaga czasu. Wszystkich spraw jest naprawdę bardzo dużo. To dobry warsztat pracy dla ludzi, którzy chcą pracować w turystyce. Przez 3 lata można się wiele nauczyć.

Jaki cel przyświeca obchodom rocznicy powstania klubu?

Święto klubu jest imprezą otwa-



rtą, skierowaną przede wszystkim do uczniów szkoły, aby mogli zobaczyć jaki jest dorobek nie nasz jako klubu, ale świata turystycznego w ogóle. W pierwszej części absolwenci, którzy skończyli już skończyli studia, pokazują slajdy z corocznych wypraw. Dwa lata temu odbyli podróż nad Bajkał; pokazywali również slajdy z wyjazdu do Kazachstanu i z pobytu w Maroku, w tym roku to zdjęcia z wyprawy W 66 dni dookoła Azji. Jest to stały punkt obchodów świata.

Jeśli miałby Pan Profesor ocenić postawy młodzieży na przestrzeni kilku lat czy młodzi ludzie chętniej uczestniczą w tego rodzaju przedsięwzięciach jak klub turystyczny?

Tendencja jest ogólnie spadkowa albo falowa: tzn. osoby, które odeszły, tworzyły bardzo dobry rocznik, po nich przyszedł o wiele gorszy, a w tym roku w pierwszych klasach znów jest wielu chętnych. Nie wiem, od czego to zależy. Myślę, że reforma szkolnictwa zrobiła tu wiele złego. Kiedyś uczeń przychodził do szkoły i można było pracować przez trzy lata. Obecny uczeń ma pół roku na zaaklimatyzowanie się, pracuje następne półtora i matura. Przez to czas do nauczenia się pewnych rzeczy bardzo się skrócił.

A jakie są marzenia bądź plany związane z klubem ?

Jeśli chodzi o plany to na pewno

Kwestionariusz

Imię i nazwisko

Wojciech Gimpis

Zawód:

Kierownik - Medyk, nauczyciel, pilot - przewodnik

Znak zodiaku:

SKORPION

Ulubiony kolor:

Granatowy

Ulubiony film:

Wybawiciel

Ulubiony aktor:

—

Ulubiona aktorka:

—

Ostatnie wakacje:

steba, Beshid Niski, spływa kajakiem na dnie

Największe marzenie:

zaczę się w wiodostępnym miejscu i Taperi potęgę na muche

Ideal kobiety:

wielkie serce, ciepło wewnętrzne

Za milion dolarów:

Kupię autobus

będziemy robić to, co robimy. Klub ma być warsztatem dla ludzi w waszym wieku, gdzie można się czegoś nauczyć, by później rozwijać swoje pasje. Tak jak nasi absolwenci, którzy zaczęli organizować własne wyprawy... I tak za rok – Afryka centralna. Trzeba mieć plan i pewne podłoże, nauczyć się prostych rzeczy związanych z organizacją. Liczy się odpowiedzialność za grupę i dyscyplina. Są to bardzo istotne kwestie. I liczy się zaufanie jakie mamy do siebie. Naszym największym sukcesem do tej pory było zajęcie pierwszego miejsca w konkursie na najlepszy szkolny klub turystyczny.

A jaka jest ulubiona potrawa Pana Profesora na wyjazdach?
Zdecydowanie papryka, pasztet,

fasolka i bigos. Są to nieśmiertelne dania, do picia woda i herbata.

Czy klub posiada jakiś regulamin czy tylko zasady wynikające z ogólnej świadomości członków?

Regulamin jest i wynika on z życia. To są takie święte prawa. Kiedy jedziesz na rajd masz zawsze mieć latarkę – nieważne gdzie idziesz – wodę i kurtkę przeciwdeszczową. Nie zabieramy ze sobą telefonów komórkowych, ma je tylko kadra, zatem rodzice zawsze mogą zadzwonić.

Czy na spotkaniach klubu poruszane są tematy związane bezpośrednio ze szkołą?

Tak, ponieważ jesteście uczniami i tego tematu nie da się uniknąć.

Czy zdarza się, że ktoś odchodzi

z klubu?

Bardzo często jest tak, że z pewnymi osobami musimy się rozstać. Przychodząc do klubu ma się rok czasu na ocenę, czy jest się odpowiednią osobą. Żeby Wszędołaz mógł funkcjonować, każdy musi coś od siebie dokładać – jeżeli tego nie robi, to, co jest na stole szybko się skończy. Chodzi zatem o takich ludzi, którzy są kreatywni i twórczy oraz potrafią dać coś od siebie innym.

Serdecznie dziękujemy Panu za rozmowę. Życzymy spełnienia marzeń – nie tylko tych turystycznych.

Dziękuję.

Odlotowe Agentki i Romek

■ Wróg cię kusi coca-colą

W GRUDNIOWYM NUMERZE OPUBLIKOWALIŚMY FRAGMENTY REPORTAŻU „MÓJ SKRAWEK BAWARII” AUTORSTWA KINGI GRUSZECKIEJ, LAUREATKI I WOJEWÓDZKIEGO KONKURSU „ZAWÓD REPORTER”. DZIŚ, TAK JAK OBIECALIŚMY, KOLEJNA WYRÓŻNIONA PRACA DRUGIEJ PIĄTKOWICZKI – KASI KOSTYŁY Z KLASY 3H. GRATULUJEMY RAZ JESZCZE!

Przeciętny Polak rano zaspany jezupe mleczną. Chodzi codziennie do pracy, dzięki temu jest w stanie zapewnić rodzinie przyzwoity status. Po drodze do biura przebiega mu drogę czarny kot starej emerytki z dołu, w pośpiechu spogląda na boki, następnie cofa się o trzy kroki i z lekkim speszeniem spluwa przez lewe ramie trzy razy. Następnie wpada jak oparzony do samochodu i z przerażeniem patrzy na zegarek. Nagle przypomina sobie o codziennej gazecie. Sfrustrowany biegnie do kiosku i kupuje periodyk. Na pierwszej stronie czyta o kolejnych politycznych aferach, braku porozumienia z Rosją oraz dymisji Ministra Spraw Zagranicznych. Czuje przygnębienie z nutą konsternacji. Przez chwilę próbuje rzucić swoje dotychczasowe życie i coś zmienić, moment zadumania przerywa mu bezduszny głos: -

1,60zł proszę!

Ten sam mężczyzna uczestniczy w niedzielnej mszy świętej, zaś raz do roku może pozwolić sobie na ten luksus, aby zabrać rodzinę na wakacje nad morze. Tam zwiedza liczne muzea, skanseny a także chadza na wystawy malarskie. Przejeżdżając obok Malborka patrzy z dumą na mury zamku i z zapartym tchem opowiada dzieciom o Jagiellach i Krzyżakach. Wieczorem idzie wraz z żoną brzegiem Bałtyku, przy okazji uczestniczy w festynie organizowanym przez władze lokalne, tam spotyka się z bogatą kulturą kaszubską oraz kuchnią staropolską. Ten sam Polak nie ma pojęcia, iż przez swoje prozaiczne życie staje się elementem społeczności, która buduje kulturę narodową.

Jest jednak i druga strona medalu. Ten sam mężczyzna wstaje rano i je płatki, ogląda opakowanie i

spozstrzega nazwę produktu, która jednak nie zainteresowała go tak bardzo jak wielkie hasło „99% Europejczyków je nasze płatki”. Myśli, że są najlepsze z dostępnych na rynku. Wychodzi do pracy, zbiega po trzech piętrach, wyciąga ulotki ze skrzynki i czyta o otwarciu nowego hipermarketu na osiedlu. Jest przekonany, że ułatwi mu to niewiarygodnie życie. Mija blokowisko, szuka nerwowo klucza, biegnie na parking, gdzie co drugi samochód to solidna niemiecka produkcja. Z uśmiechem na twarzy niemalże wlatuje do auta. Po drodze stoi w korku, słucha radia w samochodzie, gdyż bardzo lubi zagraniczną muzykę, uczy się w ten sposób języka. Tuż przed biurem skręca do Mc Driver’a po zestaw na drugie śniadanie. Wraca do samochodu akurat na wiadomości, słucha o głodzie w Afryce, Wojnach

na Dalekim Wschodzie i zamieszkach ulicznych w Paryżu. Zaraz potem informacja o trzecim mężu amerykańskiej gwiazdy, która poprawiła mu humor. Ten mężczyzna po powrocie z pracy zabiera żonę na zakupy do centrum handlowego, kupując produkty znanych marek, gdyż tylko zagraniczne firmy cieszą się rekomendacją licznych magazynów o modzie. Wieczorem ogląda z żoną filmy na DVD. Ciszę przerywają jakieś wrzaski z pokoju syna, który przegrał właśnie bitwę z powodu błędów swojego internetowego towarzysza. Rodzice nie przejmują się agresją dziecka, uważają iż dzięki takim grom poprawi swój angielski i kontakty społeczne. Ten sam mężczyzna nie jest świadomy, iż każdego dnia jest ofiarą globalizacji, procesu, który rujnuje codziennie tożsamość każdego z nas.

U progu nowego tysiąclecia nikt nie kwestionuje istnienia globalizacji i

jej potężnego wpływu na nasze życie. Teraz musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: Jakie wyzwanie stawia przed nami to zjawisko? Jaką przyjąć postawę? Bezkrytyczna akceptacja? Profilaktyka? A może eliminacja wszelkich niebezpiecznych przejawów?

Należy przede wszystkim uświadomić społeczeństwo, a zwłaszcza młodych ludzi, którzy niemalże połykają wszystkie „dobrodziejstwa” cywilizacyjne narzucone przez MTV. To czas na działania organizacji społecznych, które powinny zaangażować znanych i cenionych ludzi. Jest to dobry i sprawdzony sposób - dzięki podobnej akcji udało się podnieść frekwencję wyborczą wśród ludzi do 24 roku życia.

Trudno jednak o popularność wszelkich takich akcji, jeżeli media, które w dużej mierze kształtują światopogląd młodego człowieka bombardują nas Dodą i Rubikiem.

Zewsząd otacza nas pseudosztuka i karierowicze. Każdy z nas wie kto odpadł ostatecznie z „Tańca z gwiazdami”, a na pytanie kim jest Stachura odpowiadamy: „Wokalistą Starego Dobrego Małżeństwa!” Media to IV władza, kształtują nie tylko opinie, poglądy, ale również wrażliwość na ludzi. Dlaczego tak trudno zobaczyć nam w telewizji coś naprawdę wartościowego? Żelazna kurtyna opadała 18 lat temu, a nasz naród wciąż jest zachłyśnięty Ameryką. Wszystko przyjmujemy z takim bezkrytycznym fanatyzmem, a gdzie nasz zdrowy rozsądek? Mamy tak bogaty wachlarz wyjątkowych artystów. Jesteśmy to dłużni Osieckiej, Kieślowskiemu, Cichowskiemu i wielu, wielu innym. Zróbmy jeszcze krok do przodu, promujmy naszą kulturę, muzykę, poezję.

PRL to już przeszłość, a hasło „Wróg Cię kusi coca – colą” wciąż aktualne?

Wleję Ci do uszu rozkosz taką, Jakiej nie znał nikt.

Dzwonek na przerwę, a 15 sekund później muzyka, czyli zestaw jednych z najpiękniejszych dźwięków dostępnych w szkole, piękniejsze chyba nawet od słów „*siadaj, masz piątkę*” oraz „*sprawdzianu dzisiaj nie będzie*”. Wiadomo, że nigdy nie można trafić w preferencje muzyczne całej szkoły, ale bądź co bądź szkolna nuta często cieszy ludzi jak śmiech, śnieg lub chłodna chwila latem. Większość delektuje się dźwiękami, ale sporo osób nie wie co, kto i skąd gra.

Magiczny rocznik '89

Wszystko zaczęło się w roku 2005, gdy na szkolne korytarze wkroczyli Grzesiek (zwa-

ny też Dżordżem) i Konrad (Enzo) z obecnej klasy 3A. Pod opieką Pana Profesora Adama Jarzębka (obecnie opiekunem jest Pan Profesor Paweł Goc) społecznie zajęli się uruchomieniem Star Treka, czyli sędziwego sprzętu szkolnego grajka. Młodzi zapaleńcy zajęli się po lekcjach nadaniem drugiej młodości „przedwojennym pierdziankom” (bowiem tak zostały nazwane głośniki) oraz uprządkowaniem centrum do wodenia, oazy spokoju czyli sali 202. Początki łatwe nie były, do dyspozycji tylko stary technics, kaseciak, wzmacniacz, jakieś pudło, które okazało się transformatorem i sterta kabli. Pomimo małych problemów z rozgryzieniem

zagadki, czy niebieski kabel ma być w żółtym otworze, czy może jednak czerwony - 28 września popłynęły pierwsze dźwięki. Jak wspomina jeden z ojców sukcesu: cieszyliśmy się jak dzieci. Początkowo każdego dnia grała inna klasa, jednak po spadku zapалу zostały się ekipy z ówczesnych klas: 1 i 2A. Dźwięki płynęły z eMPeTrójek Dżordża i Enzo (w tamtych czasach mp3-player był prawdziwym rarytasem) oraz płyt chłopaków z 2A.

A dlaczego sukces miał dwóch ojców? Zapał to raz, a dwa zamiłowanie do elektroniki. Zdecydowała także chęć nawiązania nowych znajomości oraz przyjemność z grania muzyki.

Reaktywacja, czyli rocznik '90

Po sporej przerwie w graniu, spowodowanej śmiercią jednego z uczniów, po sześciu miesiącach, przez kable do głośników na nowo popłynęły elektrony, szkolne mury znowu zaczęły zachwycać się muzyką. Ekipy z nowych klas 1F i 1H, w kooperacji z osobami z innych oddziałów, pod baczным okiem starszych, zawładnęły korytarzami na przerwach. Nie obyło się bez narzekań, że radio gra trance, zamiast rocka, rock zamiast reggae. Ale prawie wszystkich łączyły szlagiery typu „Czarne oczy”, „W Dyskotece” czy też „Jeszcze jedna noc”. Nie można zapomnieć też o dniach, gdy wiele osób gwizdało razem z „Kanikułami”. Muzyka powodowała uśmiech na twarzy, jęk politowania lub nawet łzy - łzy wzruszenia w chwili wydobycia hitu z dzieciństwa przez czarne skrzynki na korytarzu. Obecnie rocznik 90. włada radiem pod okiem chłopaka od dźwięku, czyli Przemka z 2H.

Centrum dowodzenia

Sala 202, po schodkach przy sekretariacie na pierwsze piętro, 90 stopni w lewo, pierwsze drzwi na prawo. Mała sala do nauki języków. Od innych podobnych różni się czarną skrzynią pod oknem. Po zdjęciu kłódki otwiera się konsoleta szkolnych didżejów. Sama sala to ostoja spokoju, w której na przezwie kwitnie życie kulturalne, bowiem spotykają się tam wszyscy miłośnicy muzyki. Ba, nawet można nazwać to miejsce szkolną stołówką, gdy jeden z uczniów teraźniejszej klasy 2 H przyniósł sandwichera i ekipa robiła kanapki na ciepło. Zawsze, wraz z rozpoczęciem nowego, przedsięwzięcia pojawiają się ciekawscy, rekord to 42 osoby chcące naraz zobaczyć kto i co gra. Dżordż skwitował to krótko: miłe wspomnienie.

Radio nie gra, bo...

Muzyka, pomimo że jest częścią kultury, nie zawsze jest kulturalna. Pewnego

dnia pojawił się utwór niecechujący się kulturą języka, lecz co tu dużo mówić - kultowy. Niestety, cenzura w formie wyciszania nie zdała egzaminu. Pewien bardzo znany Profesor królowej nauk czyli matematyki, skutecznie uciszył radio. Dopiero po sporych wyjaśnieniach u Pana Dyrektora udało się przywrócić do obowiązków całe grono szkolnych DJów. Inne braki muzyki spowodowane były próbami głośności, czyli ile watów maksymalnie da się wyciągnąć ze szkolnych kolumn. Muzykę lubi każdy, ale tak jak ze wszystkim, co za dużo to nie zdrowo. Chyba najsmutniejsze ciche wynikają jednak z braku wstępu do Centrum Dowodzenia (bo nauczyciel zapomniał odnieść klucz do pokoju). Wtedy w oczach muzyków widać tylko smutek, a na korytarzach zniecierpliwienie.

*Tekst na podstawie
przemyśleń Grześka z 3A
i Przemka z 2H.*

Przemek

**JAK ZAWSZE EKIPA RADIA DZIĘKUJE GRONU NAUCZYCIELSKIEMU,
A W SZCZEGÓLNOŚCI PANU DYREKTOROWI ZA CIERPLIWOŚĆ I WYROZUMIAŁOŚĆ
ORAZ PROSI O CIERPLIWOŚĆ I WYROZUMIAŁOŚĆ NA PRZYSZŁE LATA
FUNKCJONOWANIA RADIA.**

PIOSENKA DLA EUROPY

Gdzie, z czym i o co gramy?

Pewny udział przedstawicieli wielkiej czwórki czyli Francji, Hiszpanii, Niemiec i Wielkiej Brytanii, oraz gospodarza – Serbii. Półfinały 20 i 22 maja. Finał 24 maja. Mowa o tegorocznej, 53 już edycji konkursu Eurowizji, która za sprawą Mariji Šerifović odbędzie się w Belgradzie. W 2007 roku w Helsinkach Marija wystąpiła jako pierwsza w historii reprezentantka wolnej Serbii. Zaspiewała piosenkę „Molitva” (modlitwa), która podbiła serca widzów i zdobywając 268 punktów, zdecydowanie wygrała. Takiego debiutu można tylko pozazdrościć. A jak na przełomie ostatnich lat wypadali polscy reprezentanci?

Udział Polski w Eurowizji rozpoczął się w Irlandii, w roku 1994. Debiut był bardzo obiecujący - Edyta Górniak wystąpiła piosenką „To nie ja!” drugie miejsce, najlepsze w historii polskich występów w konkursie. Niektórzy uważają, że piosenkarka nie wygrała festiwalu, ponieważ Polska nie miała warunków do przygotowania Eurowizji w następnym roku. Ile w tym jest prawdy? To wiedzą tylko jurorzy. Warto dodać, że ówczesne przepisy i system oceniania wykonawców różnił się znacznie od dzisiejszego. Obecnie, wpływ na wynik mają jedynie widzowie, ich sms-y oraz telefony. Wtedy występy oceniało jury, a wszystkie piosenki musiały być śpiewane w ojczystych językach wykonawców, którzy musieli posiadać obywatelstwo danego państwa. Dziś może wystąpić niemal każdy...

Polscy reprezentanci w kolejnych latach:

1995 – Irlandia. Justyna Steczkowska z piosenką „Sama”. 18 miejsce.

1996 – Norwegia. Kasia Kowalska z piosenką „Chcę znać swój grzech”. 15 miejsce.

1997 – Irlandia. Anna Maria Jopek z piosenką „Ale jestem”. 11 miejsce.

1998 – Wlk. Brytania. Sixteen z piosenką „To takie proste”. 17 miejsce.

1999 – Izrael. Mietek Szcześniak z piosenką „Przytul mnie mocno”. 18 miejsce.

2000 – Z powodu słabego wyniku Mietka Szcześniaka w roku 1999, Polska nie otrzymała miejsca w konkursie.

2001 – Dania. Andrzej „Piasek” Piaseczny z piosenką „2 long”. 20



miejsce.

2002 – Z powodu słabego wyniku Piaska w 2001 roku, Polska nie otrzymała miejsca w konkursie.

Bez granic.

Rok 2003 był przełomowy. 25 stycznia 2003 roku, w warszawskim studiu „S5” po raz pierwszy odbyły się krajowe eliminacje do konkursu Eurowizji. Startowały w nich tak znane zespoły jak Wilki, Ha-Dwa-O!, Varius Manx, Blue Cafe czy Ich Troje. Wystąpili także reprezentanci Lubelszczyzny. Zespół Bracia wykonał piosenkę „Missing every moment” i według nieoficjalnych wyników zajął 7 miejsce. Zwyciężył, zdobywając ponad 31 % głosów, zespół Ich Troje. Michał Wiśniewski, Justyna Majkowska i Jacek Łągwa, 20 maja w Skonto Olympic Hall, w stolicy Łotwy – Rydze, zaprezentowali swoją propozycję na piosenkę dla Europy 2003. Utwór „Keine Grenzen”, miał być „hymnem jednoczącym Europę”. Dlatego też, został wykonany w trzech językach: polskim, niemieckim i rosyjskim. Otrzymując 90 punktów (w tym 12 od Niemców) Keine Grenzen zajęło 7 miejsce, najlepsze od czasu Edyty Górniak. Najbardziej znanym zespołem startującym w Eurowizji 2003, były reprezentantki Rosji – t.A.T.u. Ich piosenka „Nie wier', nie bojsia” (Nie wierz, nie bój się) zdobyła 164 pkt i zajęła 3 miejsce, zaraz za Turcją - 167 i Belgią - 165. Wywołało to spory szum. Kilku przedstawicieli irlandzkiej telewizji przyznało, że to tatuszki powinny wygrać konkurs. W czasie głosowania zepsuł się system audiotele i punkty zostały przyznane przez jury. Rosjanki nie otrzymały żadnego punktu. Tymczasem głosowanie widzów podobno zdecydowanie wygrały...

Slit song.

Drugie w historii polskie eliminacje do

konkursu Eurowizji - 24 stycznia 2004. Moje uznanie zdobyła piosenka zespołu Goya - „All my senses”. Jeśli weźmiemy pod uwagę kawałek, który wygrał konkurs, to dobrym rozwiązaniem mógłby być wybór piosenki „I'm still alive” w wykonaniu Alicji Janosz. Jednakże eliminacje wygrał zespół Blue Cafe, który rok wcześniej przegrał tylko z Ich Troje. O występie w Istambule chyba wszyscy chcielibyśmy jak najszybciej zapomnieć. W warstwie tekstowej piosenka „Love song” była równie ambitna jak większość szlagierów disco polo (Sweet song x20, love song x11). Choreografia natomiast... Pani Tatiana myślała chyba, że założenie skąpej kreacji, pokazanie ciała i wykonywanie ponętnych ruchów na scenie, pomoże jej zespołowi zdobyć uznanie widzów. Tak się nie stało. Zaspęły, drewniany głos wokalistki i (jak powiedział jeden z członków zespołu) zbyt ambitna muzyka sprawiły, że Blue Cafe zdobyło zaledwie 27 punktów i zajęło tylko 17 miejsce. A wracając do zwycięzcy, czyli Ukrainki Rusłany, która wykonując piosenkę „Wild dances” jak burza przeszła przez półfinał i główny konkurs. Ponoć widzów urzekł jej układ choreograficzny (moim zdaniem interesujący). Lublinianie mogli zobaczyć go na żywo, podczas koncertu Rusłany, który odbył się 18 czerwca 2005 roku na Placu Zamkowym. Zastanawia mnie jeszcze tylko, czy receptą na dobry Eurowizyjny wynik, nie jest przypadkiem występ w króciutkiej spódnicy, bez dolnej części bielizny, tak jak uczyniła to Rusłana...? Ale na to pytanie każdy odpowie sobie sam...

Czarne oczy...

Przepraszam, dziewczyna.

Słaby wynik w roku 2004 sprawił, że telewizja Polska zrezygnowała z eliminacji na rzecz powołania specjalnej ko-

misji, w skład której wchodził znany muzyk i krytyk muzyczny. Przewodniczącą komisji – Maria Szablowska, ogłosiła, że reprezentantem Polski na konkursie Eurowizji 2005 będzie zespół Ivan i Delfin. Bardzo szanuję panią Szablowską i lubię program, który prowadzi w jednej ze stacji telewizyjnych. Jednak fakt, że pozwoliła na wypuszczenie Ivana i jego ekipy na Eurowizję, budzi we mnie lekki niesmak. Piosenka „Czarna dziewczyna”, która miała być niewątpliwie nawiązaniem do największego (i chyba jedyne!) przeboju zespołu „Czarne oczy”, zajęła w półfinale 11 miejsce i tym samym zapewniła Ivanowi szybki powrót do domu. Nie to boli jednak najbardziej. Gdy zasiadłem wygodnie przed telewizorem i ujrzałem Ivana z bandem, moja pierwsza myśl była prosta: „wieś tańczy i śpiewa”. A żeby było śmieszniej, nie polska wieś, lecz rosyjska... Wygrała wykonywana przez Helenę Paparizou piosenka „My number one”. Wielkim przegranym okazał się występujący jako reprezentant Szwajcarii, estoński girlsband Vanilla Ninja. Lenna, Piret i Katrin zdobyły 128 pkt (o 102 mniej niż zwycięzcy) i tym samym uplasowały się na 8 miejscu.

Podążam za głosem mego serca...

Greckie Ateny. Taki cel stawiali sobie uczestnicy polskich eliminacji w roku 2006. Formuła eliminacji zmieniła się w porównaniu z poprzednimi latami. Punkty były przyznane przez jury i widzów. W przypadku remisu, zwycięzcą miał zostać wykonawca, który zdobędzie więcej punktów od widzów. Swoją rolę zgłosili tak znani artyści jak: Brathanki, Ha-Dwa-O! czy nawet Danzel. Na szczególną uwagę zasługiwała piosenka „How many people” zespołu The Jet Set. Zajęła ona 3 miejsce, po tym jak otrzymała 8 pkt od jury i tyle samo od widzów. Miejsce drugie zajęła Kasia Cerekwicka i jej piosenka „Na kolana”. Miała co prawda tyle samo punktów co zwycięzca, jednak 10 pkt otrzymała od jury a 7 od widzów. Jako reprezentacja Polski 2006 wybrany został zespół Ich Troje (w zmienionym składzie, z nową wokalistką Anną Świątczak), wspierany przez poprzednie piosenkarki: Magdę Famme (właściwie Magda Pokora), Justynę Majkowską, oraz Olafa Jeglitza – członka niemieckiej grupy eurodance Real McCoy. Uzyskali oni 5 pkt od jury i 12

od widzów. Półfinał okazał się zbyt dużym wyzwaniem dla Michała Wiśniewskiego i jego ekipy. Mimo dość dobrej choreografii, zajęli 11 miejsce i podobnie jak rok wcześniej Ivan, zapewnili sobie szybki powrót do Polski. W finale wystąpił zespół „Las keczup”, twórca hitu „Asereje/The keczup song”. Ich sława nie pomogła jednak Hiszpanii. Piosenka „Bloody Mary” zajęła 21 miejsce z 18 punktami. Półfinał, zdobywając 292 pkt wygrała fińska, hard rockowa grupa Lordi. W finale również była bezkonkurencyjna. Uzyskując 292 pkt, ustanowiła najwyższy wynik w historii finału Eurowizji. Warto dodać, że 12 pkt otrzymała od Polski, a tylko 3 kraje nie przyznały chłopakom z Lordi żadnych punktów. Zwycięstwo Finów wywołało ogólne kontrowersje. Członkom grupy zarzucano satanizm. Mr. Lordi, lider grupy odpierał te zarzuty, mówiąc, że w sataniście piosence nie pojawiłoby się zawołanie „Hallelujah” (chwalmy Pana).

Czas na zabawę!

Blue Café pokazało, że to co nie udaje się jednego roku, na pewno uda się następnego. Tak było również w przypadku The Jet Set. Zwyciężyli oni zdecydowanie w głosowaniu widzów. W sumie nie może to dziwić, bo poza Nataszą Urbańską – gwiazdą musicalu „Romeo i Julia” Józefowicz i Stokłosy, nie było nikogo, kto mógłby zagrozić Sashy i Davidowi. Piosenka „Time to party” miała bardzo ciekawą choreografię, nawiązującą do musicalu „Chicago”. Niestety, tak jak w poprzednich latach, również w roku 2007 przedstawicielowi Polski nie udało się przejść półfinałowego sita. 75 punktów i 14 miejsce zatrzymały marzenia o tym, że Polska na konkursie Eurowizji w końcu coś osiągnie. Półfinał jak i finał zwyciężyła reprezentantka debiutującej Serbii – Marija Šerifović, zdobywając odpowiednio 298 i 268 punktów.

Kłopotliwy 08.

Telewizja Polska ciągle szuka dobrego sposobu na wybór reprezentanta. Po raz kolejny zdecydowała się zmienić formułę eliminacji. W tym roku 10 piosenek ocenianych będzie przez pięcioosobowe jury oraz widzów. Każdy członek jury przyzna piosence punkty, do których następnie dodane zostaną punkty od widzów. Postępowanie telewizji polskiej jest dla mnie odrobinę niezrozumiałe.

Z jednej strony zastrzega, że nie życzy sobie piosenek w językach innych niż polski lub angielski (w regulaminie czytamy: „Utworky premierowe wykonywane w języku polskim lub języku angielskim należy...”), z drugiej jednak zaprasza do udziału w eliminacjach dwóch artystów rodem ze Szwecji. Jaki w tym cel? Czy tak promuje się polskich artystów...? Już na początku przygotowano do eliminacji wybuchł mały skandal. Okazało się bowiem, że piosenka „Kieubasa” Krzysztofa „Zalefa” Zalewskiego była już wykonywana publicznie na koncercie z okazji Dnia Kotana i nie może przystąpić do konkursu. Zalef został zdyskwalifikowany, a jego miejsce zajął zespół Plastic – pierwszy na liście rezerwowych. Bardzo spodobała mi się kompozycja grupy Afromental „Thing We've Go”. Myślę, że charakterystyczny styl Afromentala, będący połączeniem r'n'b, funky i soulu byłby dobrą propozycją na Eurowizyjną scenę. Ciekawie prezentuje się także kompozycja „The Devil”, którą wykonuje Kasia Nova. Biorąc pod uwagę jednak wydarzenia muzyczne z ostatnich kilkunastu miesięcy, sporo szanse na wygranie eliminacji ma girlsband Queens. Jak będzie? Przekonamy się 23 lutego.

I co dalej?

Może warto się zastanowić, czy wysyłanie kolejnych artystów na konkurs Eurowizji jest jeszcze opłacalne? Może pieniądze przeznaczone na cały ten szum, lepiej byłoby spożytkować w inny sposób? A po prostu warto by było poszukać kogoś, kto reprezentowałby poziom pozwalający na powtórzenie sukcesu Edyty Górniak lub chociaż Ich Troje? A może wręcz przeciwnie, zrobimy coś kontrowersyjnego i wybierzmy twórcę disco polo (nikt podobno tego nie lubi, a jak leci to wszyscy się dobrze bawią i o dziwo: znają teksty!) lub hip hop (jak wszyscy dobrze wiemy: Hip Hop Wielką Dumą Polski)? Dostrzegam jeszcze jedno rozwiązanie. Może po prostu całkowicie zrezygnujemy ze startu w tym niezwykle tandetnym, komercyjnym i przewidywalnym konkursie...?

Linus

„...tak jak Swing i Blues i Jazz”

Zanim doszło do stworzenia tego artykułu musiałam zgromadzić, przewertować i zgłębić tony informacji o tych wspaniałych chłopach. Motywację miałam dobrą - zafascynowali mnie, chciałam ich poznać i tak się zaczął nasz związek. Wejść do łóżka już im zdołałam, prześpać się również, jednak czy coś się z tego urodzi - nie wiem. Aczkolwiek współżyję dalej, a trzeba przyznać, że nie jest łatwo.

Jednak mam nadzieję że i Was zauroczą.

Kto by pomyślał, że jego krew płynie w żyłach tylu gatunków muzycznych, że tchnął życie w mnóstwo różnorodnych dźwięków. Ojciec chrzestny rocka, kochanek matki rock'n'rolla, dawca nasienia Jazzu, bezkonkurencyjny pan i władca - Blues, który choć wydał dużo plonów, łatwej drogi nigdy nie miał. Zdzisław Smektała tak o nim mówi: *Blues to nie jest ozdrowieńczy sen sytego mężczyzny. To gorzka potrawa z wykpioną datą ważności. Ale ma w sobie więcej smaków niż jakikolwiek inny gatunek muzyczny. Blues to korze nie muzyki. Reszta to bluesa mniej lub bardziej pielęgnowane owoce. Blues nigdy nie zakrzuszy się nicością. Zawsze powstanie z kolan. Mimo że w otwartych ranach ma wyłożoną grubą, piekącą sól.* Ta sól, która nadaje mu goryczy, powoduje zarazem, że jest jeszcze bardziej smaczny i różnorodny. Ale ma on w sobie także dużo prostoty, naturalności i szczerości - tylko nie każdy może ją odczytać, bo nie do każdego jest adresowana. Prawdziwego bluesa rozumieją osamotnieni w swej prostocie i autentyczności. Nasz szanowny pan często rodzi się z cierpienia, ale także sam je powoduje. Tadeusz Nalepa czy

Tom Waits stali się jego ofiarami - zapominając o sobie, pielęgnowali bezlitosnego króla. Jednak nawet zza światów z dumą stwierdzą, że było warto... To że nas blues wskazał palcem, dostrzegł wyróżniające z tłumu i wpędzające w osamotnienie walory, które pozwalają się z nim zaprzyjaźnić dając kres poczuciu samotności, to prawdziwy zaszczyt.

Blues to rozpacz, pomimo żywych dźwięków, wydobywanych najczęściej za pomocą gitary, harmonijki ustnej, fortepianu, saksofonu. Na pytanie „skąd w bluesie tyle bólu?” odpowie nam historia. Zrodził się on z pieśni murzyńskich robotników, żebraków, nędzarzy, które zawierały wszystko to co ich zadziwia, dręczy, boli bądź wzrusza. Jego źródło można jeszcze znaleźć w śpiewach religijnych - te z kolei związane są z wszelkimi słowami kierowanymi do Boga, głównie dziękczynieniem, ale także wyrażane są w nich prośby czy trwoga. Tematyka tego gatunku obejmuje głównie nieprzyjemne aspekty życia i krytyczne do nich nastawienie, a także zagadnienia dotyczące bliskich relacji między kobietami a mężczyznami czy kwestie podróży i wolności (te trzy ostatnie bardzo liczne obecnie).

By ‘poczuć bluesa’ sięgnijcie po płyty T. Mahala (osobiście polecam utwór ‘Queen bee’), T. Nalepy, B.B. Kinga, Big Joe Turnera, M. Sobczaka, H. Wolfa, M. Wattersa, O. Spanna i wielu innych wspaniałych bluesmanów, tworzących naprawdę żarliwą muzykę, mogącą sprawić wiele przyjemności, a nawet przyprawić o szeroki uśmiech...

Teraz kolej na zdecydowanie zmiennego Pana, ba, wręcz numorzastego. Jazz to mix muzyki ludowej, rozrywkowej i artystycznej. Całkowicie ukształtował się pod koniec XIX wieku. Jed-



B.B. King

nak jego ewolucja wciąż trwa. Każdy jazzowy artysta powie, że jest to najbardziej kreatywna forma muzyki, gdyż pozwala na całkowitą wolność wypowiedzi. Za innowatora jazzu, a dokładnie jego wokalnej ekwilibrystyki uważa się Louisa Armstronga, znanego ze scatu - imitowaniu dźwięków instrumentów. To jedna z nieodłącznych części dobrego jazzu, bo ważny jest jeszcze rytm, odpowiednie instrumenty (saksofon, trąbka, klarinet, perkusja, puzon, kontrabas, skrzypce, fortepian), czasem przyda się wspaniały wokal, jednak nie jest obowiązkowy (jazz bardzo często nie posiada tekstu).

James Lincoln Collier wyróżnia trzy podstawowe atrybuty jazzu: swing, funkcję ekstatyczną i kod indywidualny, czyli kolejno: zmienność rytmu i dynamikę,

improvizację oraz zaangażowanie zarówno muzyków jak i publiczności, łączność między nimi, wyrażana w linii melodycznej oraz zmianie natężenia dźwięku. Jak już wspominałam jazz jest bardzo zmiennym gatunkiem, przez co pojawiają się nie raz wątpliwości czy aby na pewno jest to gatunek muzyczny. Z pewnością jest to sztuka, której przemiany stylowe były bardzo rozmaite, w zależności od upodobań aranżacyjnych muzyków. Obecnie można wyróżnić ponad 50(!) głównych stylów. A zatem utożsamianie jazzu z wolnością

jest słuszne: dowolne kombinacje, kreatywność, różnorodność. Jedną z jego odmian jest niewinny, lekki Swing. Zgodnie z jego angielskim tłumaczeniem, przy Swingu biodra same się kołyszają. Warto wprowadzić je w ruch przy Glennie Millerze lub Bennym Goodmianie.

Muzycy jazzowi są bardzo liczni. Jeżeli chcecie posłuchać free jazzu wybierzcie Charliego Hadena, Dona Cherriego, Erica Dolphiego. *Trzy kwadranse jazzu* czy *Siesta*, audycje radiowej Trójki, będą pieścić twoje uszy delikatnymi dźwiękami, podo-

bnie do, już tylko archiwalnych nagrań - *Smooth jazz cafe*. Oczywiście Louis Armstrong nie może być zapomniany, tak jak polscy jazzmani: Henryk Miśkiewicz, Andrzej Trzaskowski, Zbigniew Namysłowski, Tomasz Stańko i Zbigniew Seifert. Dodam, że w Polsce jazz nie miał łatwo - w okresie stalinizmu został zakazany. Spróbujcie ich polubić. Spróbujcie wysłuchać. Warto.

Pierre D.

■ „Łysiak na łamach”* Lipy

Łysiak wielkim pisarzem jest. - Marcin Wolski, pisarz, dziennikarz i satyryk; Jego teksty są kwintesencją prawdy - Andrzej Gwiazda, przywódca Solidarności w 1980 r.; Łysiak jest intelektualistą z temperamentem człowieka wielkiej przygody - prof. Bogusław Dopart, kierownik Katedry Historii Literatury Oświecenia i Romantyzmu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Waldemar Łysiak – pseudonim Valdemar Baldhead, Archibald, Mark W. Kingden, Rezerwo- wy Ł. jest też moim ulubionym pisarzem.

O Waldemarze Łysiaku nie mówi się w szkołach. W mediach również – nie zobaczymy go w telewizji udzielającego wywiadu, niełatwo znaleźć w prasie recenzję jego książki, nie zostanie mu przyznana literacka nagroda Nike. Jego twórczość jest komentowana jedynie milczeniem. Jednak jego książki są bestsellerami. Napisał ich 48, a w ostatnich latach co roku ukazywał się nowy tytuł.

„Łysiakomania” – choroba, która mnie dotknęła i z której wcale nie chcę być wyleczona – dopadła

mnie prawie 3 lata temu. Przypadkowo trafiłam na cytaty z książki pt. „Konkwista”, który bardzo mnie zaintrygował: *Dlaczego wszystko, co sprawia nam radość, wszystko, czemu przypisujemy urok piękna, wszystko, co odziewamy w szatę ideału, kończy się czymś brudnym, głupim, nędznym lub śmierdzącym, dlaczego nietrwałość jest cechą absolutu, a wzniosłość i triumf nie są jego finałem? Miłość kona w znużeniu, upodleniu lub zadość, dobroć w spektakularnych filantropiach, książka w składzie makulatury, poezja w ocenach szkolnych belfrów, konie wyścigowe w jatkach rzeźników, demokracja w tłumie, wolność w ZOO, sława w megalomanii, wiedza w pysze, cacka na śmietniku*. Postanowiłam sprawdzić, kim jest ów tajemniczy Valdemar B.

Waldemar Łysiak urodził się 8 marca 1944 roku w Warszawie. Studiował architekturę na Politechnice Warszawskiej, historię sztuki na Uniwersytecie Rzymskim oraz w Międzynarodowym Centrum Studiów nad Ochroną i Konserwacją Zabytków w Rzymie. Jego pierwsze eseje, powieści

(„Kolebka”, 1974) poruszały tematykę napoleońską – Bonaparte jest ulubioną postacią historyczną Łysiaka, do której powracał wiele razy. „Doktryna fortyfikacyjna Napoleona” – był to tytuł jego pracy doktorskiej z architektury. W czasach, gdy Polska znajdowała się za żelazną kurtyną, pisał licznie felietony, artykuły. Udało mu się nawet „przechytryć” cenzurę i w zbiorze opowiadań „MW” napisać prawdę o Katyniu – zrobił to poprzez opisanie mordu na szwoleżerach (szwoleżerowie - formacja wojskowa lekkiej kawalerii) polskich w Bourreaugne - taka miejscowość nie istnieje, natomiast „bourreau” oznacza kat. Łysiak w swojej twórczości poświęcił również wiele miejsca sztuce, głównie architekturze – polecam zbiór esejów „Wyspy zaczarowane”. Stworzył także ośmiotomowe dzieło „Malarstwo białego człowieka”.

Trylogia „łotrzykowski-heroiczna”, pod której wrażeniem jestem do dziś, rozpoczęła nowy etap w twórczości Waldemara Łysiaka – etap w dużej mierze poświęcony Polsce, komunistycznej, solidarnościowej, a także

III RP. W skład trylogii wchodzi: „Dobry” (1990), „Konkwista” (1988) oraz „Najlepszy” (1992). Z trylogią łączy się także „Najgorszy” wydany w roku 2006 oraz „Lepszy” (1990) – wspomnienia pisarza z okresu walki z cenzurą.

„Dobry” jest współczesną powieścią sensacyjną, rozgrywającą się w Polsce na początku lat 80. Autor nie tylko doskonale przedstawia mechanizmy działania zorganizowanych grup przestępczych, ale także ukazuje ówczesną sytuację społeczno – polityczną, powiązania środowisk przestępczych z polityką. Z kolei za publikację „Najgorszego” Łysiak został usunięty z Katedry Historii Kultury i Cywilizacji na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej – powodem były kontrowersyjne poglądy pisarza: na przykład uznanie za „zdrajców” Jacka Kuronia (ostra krytyka KORu) oraz Adama Michnika. Książka przedstawia obalenie komunizmu „za kulisami”, to jak zdaniem autora naprawdę wyglądał przewrót, jakie były prawdzi-

we przesłanki demokracji polskiej oraz kto kierował zmianami w kraju po 1989. Myślę, że warto zapoznać się z jego zdaniem, a także poszperać trochę w biografii ludzi, których Polacy uważają za bohaterów narodowych. Warto wyrobić sobie własny pogląd i obalić mity, które niestety funkcjonują do dziś.

Kolejne kontrowersyjne powieści to „Stulecie kłamców” (2000), „Rzeczpospolita kłamców – Salon” (2004) i dwuczęściowy „Alfabet szulerów - Salon” (2006). *Łysiak demaskuje kulisy polityki i kultury, obnaża salonowych aktorów i przebija nadęte balony kłamliwych haseł(...) W. Łysiak wywleka jednak brudy na wierzch, pragnąc przypomnieć, iż o artyście jako autorytecie decyduje nie tylko jego dzieło, ale i czyny. Jest to hołd pamięci Zbigniewa Herberta, zasługującego w pełni na miano takiego autorytetu, przez co ignorowanego na oficjalnych salonach(...) Jak zawsze; „Prawda przeciw światu.. (wyspywirtualne.cpo.pl).*

Łysiak ośmielił się skrytykować Wisławę Szymborską i Czesława Miłosza, którym zarzucił antypolonizm. Negatywnie ocenił także „różowy salon” byłych działaczy KOR, popierających politykę „grubej kreski” - wyrozumiałości wobec byłych działaczy komunistycznych.

To tylko mały, skromny zarys dokonań Waldemara Łysiaka, „mistrza słowa” wobec którego nie można pozostać obojętnym. Mam jednak nadzieję, że zachęci on do sięgnięcia po choćby jedną ze wspomnianych (lub pominiętych :) przeze mnie książek. Może powiększy się grono „Łysiakomaników”?

Katarzyna Stachyra

Cytaty ze wstępu pochodzą ze strony www.lysiak.chrzanik.com (polecam!)

Niektóre informacje pochodzą z www.wikipedia.pl

* „Łysiak na łamach” – tytuł zbioru artykułów publicystycznych W. Łysiaka

■ Najcenniejsze, co może „mieć” człowiek – Przyjaciel

Samotność jest straszna – co do tego nikt chyba nie ma wątpliwości. Nie każdy z Nas jej doświadczył, chyba jednak nie ma osoby, która chciałaby poznać ją lepiej. To przyjaźń – nie samotność – ma tak ogromny wpływ na Nasze życie: przede wszystkim na Nasze relacje. *U ludzi, którzy nie mają przyjaciół obserwuje się zmniejszoną zdolność przeżywania jakiegokolwiek miłości. Mają oni tendencję do zawierania licznych małżeństw, zrażania do siebie innych członków rodziny, często też borykają się z kłopotami w pracy zawodowej* (Alan McGinnis „Sztuka przyjaźni”). Jednak gdy człowiekowi brakuje czasu, by porządnie się wyspać,

trudno o prawdziwego przyjaciela. Ale czy brak przyjaciół to wina jedynie trybu życia? A może ludzie nie wierzą w przyjaźń lub zwyczajnie jej nie potrzebują?

Flash mob (tzw. Błyskawiczny tłum – określenie sztucznego tłumu, zazwyczaj zupełnie obcych dla siebie ludzi, zgromadzonego w celu przeprowadzenia krótkotrwałego zdarzenia) to zjawisko, które stało się symbolem dzisiejszych związków międzyludzkich – zwłaszcza tych łączących młodzież. Ogromne grupy znajomych znikających równie szybko, jak się pojawiły, zastępują dotychczasowe wąskie kręgi zaufanych przyjaciół. Imprezy w „kameralnym” gronie (nawet 60-

osobowym!) w zupełności zaspokajają potrzeby towarzyskie. Bardzo powierzchownym kontaktom sprzyja również rozwój technologii: komórki i Internet sprawiają, że wolimy komunikować się na odległość, „przez kabelek” niż rozmawiać w cztery oczy. W ten sposób można wykreować dowolny wizerunek – niekoniecznie zgodny z rzeczywistością - z tym, jacy jesteśmy naprawdę.

Co się tyczy dorosłych: pogoń za sukcesem (rozumianym jedynie jako sukces zawodowy) to zdecydowanie wyższy szczebel na drabinie priorytetów niż drugi człowiek. Jednak po drabinie wchodzi się stopniowo. Omijając dolne

schodki nigdy nie dojdziemy na samą górę, ba, nie dojdziemy nawet do połowy. Ktoś powie: często wraz ze zdobywaniem bagażu doświadczeń drabina odwraca się do góry nogami; gdy zawiedziesz się sto razy, nie masz ochoty ryzykować sto pierwszy. Możliwe. Jednak co mi po karierze, sławie, pieniądzach, gdy nie będzie nikogo, kto cieszyłby się tym wszy-

stkim razem ze mną? Drugi człowiek zawsze będzie najważniejszy!

Przyjaźń wzbogaca – poprzez drugiego człowieka poznajemy sami siebie, jednak nie jesteśmy egocentryczni, bo szczęście przyjaciela stawiamy ponad własne. I to jest najpiękniejsze. Jednak tak jak wszystkie relacje międzyludzkie – tak i przyjaźń trzeba nie-

ustannie pielęgnować, dbać o nią, by była zawsze świeża, by nigdy nie pokryła się warstwą zniechęcenia i monotonii. Nawet gdy *ciągle jeszcze jemy sól z dużej brązowej beczki* nie warto patrzeć w przyszłość z prorocstwem niepowodzenia na ustach. Bo prawdziwa przyjaźń się nie kończy...

Kazik

Skąd się wzięły Walentynki?

Większość z nas co roku obchodzi Walentynki, jednakże niewielu z nas wie, skąd wywodzi się ta tradycja i kim dokładnie był patronujący jej święty. Zatem razem przyjrzyjmy się faktom.

Historia mówi o kilku Walentych i dokładnie nie wiadomo, który opiekuje się zakochanymi. Pierwszym z nich jest kapłan Walenty, który za panowania cesarza Klaudiusza II Gota został skazany na śmierć za udzielanie narzeczonemu ślubu chrześcijańskiego (wbrew edyktowi cesarskiemu) i stracony w dniu 14 lutego. Legenda głosi, że pokochał córkę więziennego strażnika, a idąc na śmierć, pozostawił jej na pożegnanie liść w kształcie serca podpisany "Od twojego Walentego".

Drugim Walentym był biskup

miasta Terni w Umbrii. Za panowania cesarza Aureliana znany z krzewienia chrześcijańskiej wiary wśród Rzymian. Jako pierwszy pobłogosławił związek małżeński między poganinem i chrześcijanką, a stracony został podczas prześladowań chrześcijan. Nad jego grobem w Terni powstała Bazylika Flamińska – miejsce licznych pielgrzymek. Znajduje się w niej srebrny relikwiarz kryjący szczątki świętego, opatrzony napisem "Święty Walenty, patron miłości".

Obrzędy Walentynek wywodzą się od Lupercalii (święta obchodzonego w starożytnym Rzymie). Było ono bardzo rozpustne i niezgodne z nauką chrześcijańską, dlatego nakazem cesarza Oktawiana Augusta zmieniono jego charakter. Ich patronką stała się Junona (February Juno), opiekunka kobiet, seksualnego pożycia i macierzyństwa, której czczenie przypadało na 15 lutego. W tym dniu natchnieni miłością młodzieńcy okazywali uczucia swoim wybrankom wypisując ich imiona, a następnie podrzucając je pod ich domostwa. Można w tym upatrywać początków zwyczaju

obdarowywania osób ukochanych dedykowanymi prezencikami.

Chrześcijaństwo z rozmysłem zezwalało na kultywowanie zakorzenionych obyczajów, starając się zaadaptować wiele świąt do swoich potrzeb, by integracja z pogańską społecznością odbywała się płynnie. Święto pasterzy zachowano, przypisując mu nowego, ale równie ważnego i silnego patrona. Został nim święty Walenty (valentulus - ten silny).

Święty Walenty jest patronem chorych na epilepsję i choroby umysłowe. Dlaczego więc obrano go także patronem zakochanych? Może dlatego, że stan uczuciowy zakochanych niezależnie od ilorazu inteligencji, płci i wieku chwilami przypomina chorobę umysłową? Mimo, że Walentynki są mało lubiane (wręcz znienawidzone przez wiele osób) może warto wysłać kartkę, by sprawić komuś radość? Kto wie, może osoba do której wzdychamy od miesiąca też coś do nas czuje..? Myślę też, że warto zamienić kolejnego zezowatego pluszaka na urodziwą różę, a sms'a czy kiczowatą kartkę na prawdziwą poezję.



Osobliwe wierszyki...

walentynkowe?

Modlitwa zbójnika:

Boże bądź ślepy i głuchy,

Idę do ładnej dziewczuchy!

O zjedzeniu jabłka:

Adam ujrzawszy, że Ewa jest

naga,

Innego raju już się nie domaga.

Pochwała siana:

I spanie, i kochanie

Najlepsze na sianie.

Już niedługo w naszej szkole ma
działać poczta walentynkowa. ;)

Może zrobimy radość również
Sorom i Sorkom wysyłając im
jakieś miłe życzenia..? ;)

Little Girl 1d

Rzecz całkowicie magiczna – studniówka 2008

- Kindzior, nogi mnie bołą.
- Nie dziwię im się. Filharmonia będzie musiała remon-
tować podłogę przez ciebie.
- Chyba o to chodzi na stu-
dniówce?
- O remont podłogi? Nie
wiem. Jak określić to jak by-
ło?
- Fajnie.
- Ale fajnie jest dość bezoso-
bowo, a studniówka jest
przecież bardzo osobowa.
- Chyba osobista.
- Osobowa, bo ma duszę...

I właśnie o tejże duszy po-
stanowiłam napisać. Wbrew
pozorom dość trudno jest
zrelacjonować, co działo się
w Filharmonii lubelskiej w
nocy z 12 na 13 stycznia, ale
nie trudno jest zauważyć, że
było to coś niesamowitego.
Może bal po prostu wszyst-
kich zaczarował i dlatego
żadna z pytanых przez mnie
osób, nie potrafiła konkretnie
określić co podobało się naj-
bardziej.

Niewątpliwie niezwykle ma-

giczne było spotkanie w jed-
nym miejscu większości ma-
turzystów. Nie były ważne
gusta muzyczne, upodoba-
nia, to czy ktoś jest klasową
gwiazdą, czy czarną owcą.
Nie zauważyłam żeby ktoś
siedział samotnie. W tym
czarowaniu niemały udział
miał zespół. Przecież nie od
dziś wiadomo, że muzyka hi-
pnotyzuje. I hipnotyzowała –
tylko dlaczego tak krótko? Na
bunt już chyba za późno. Na-
uczka dla potomnych - krzy-
czeć, albo brać przykład i
uruchamiać mp3 albo komór-
ki (tak jak zrobili maturzyści
Zamoya).

I nawet na catering mogę
przymknąć oko, bo jedzenie
najważniejsze w życiu nie
jest. Na balu studniówkowym
zwyczajnie szkoda czasu na
jedzenie. Więc nie napisze,
że nie było co jeść, choć nie
było i to nie dlatego, że coś
występowało w ilościach śla-
dowych.

Warto zaznaczyć, że magia
działała od samego początku.

Bo skoro wszyscy przeżyli
poloneza, a biorąc pod uwa-
gę zdenerwowanie jakie te-
mu towarzyszyło, to coś w
tym być musiało. Oczywiście
polonez był prosty i stwier-
dzam to ja, która najbardziej
panikowała. I wiem co mó-
wię, bo widziałam układy in-
nych szkół. Oczywiście stres
nie był potrzebny, ale i tak
miałam wrażenie, że niektó-
rzy nie zdążą wyjść i podry-
gać w rytm muzyki, bo wcze-
śniej zabije ich zawał.

Jeśliby określić studniówkę
jako ładowarkę baterii, które
w sobie mamy, to myślę, że
po sobotnio-niedzielnej zaba-
wie co niektórzy świecą ene-
rgią z przeładowania. Tylko
brakuje słownictwa na naz-
wanie tego wszystkiego. Cóż
słownictwo jest ludzkie, więc
wiele mu brakuje do ideału.
Poza tym, czy ktoś umie
określać rzeczy, które się lu-
dziom nie śniły? Rzeczy cał-
kowicie magiczne?

Anastazja E.T.

Zmiany geograficzne...

Wraz z nowym rokiem na- który od września rozpo- roku. Jednocześnie, o sta- piło kilka dosyć isto- czał nauczanie w Piątce, czym nie można zapomnieć, tnych zmian w kadrze nau- od stycznia dzieli się na zasłużoną emeryturę czycielskiej, dokładniej obowiązkami z Panem Pro- odeszła Pani Profesor Ewa zaś w kadrze nauczycieli fesorem Jarosławem Korbą, Miazga, także wieloletnia geografii. Tak oto Pan którego wielki powrót od- nauczycielka geografii. Profesor Józef Kozysa, notowaliśmy z początkiem

Minęła studniówka...

Noc z 12 na 13 stycznia z Lubelskiej. Z wielu re- że nastroje Maturzystów pewnością wielu tegoro- lacji - tak naocznych, za już niecałe sto dni cznych Maturzystów (i nie jak nausznych - wynika, będą choć w połowie tak tylko!) zapamięta jeszcze że zabawa okazała się wy- pozytywnie jak po tejże na długo. Tym razem ro- borna, a szampańsko bawi- imprezie. Już teraz trzy- cznik '89 postanowił spę- ła się nie tylko mło- mamy kciuki. ;) dzić tę szczególną noc dzież, ale i grono peda- pod dachem Filharmonii gogiczne. Liczymy na to,

Walentynki - dzień, kiedy kwiaty drożeją o 500%

Masz problem, bo jest za rzyszyć jedyne w swoim dnia, oczekujcie listo- wiele „tych jedynych”, a rodzaju czerwone kartki, nosza, oczekujcie walen- Walentynki tylko raz do emocje oraz szczerłość tynek, miłość nie śpi, a roku i nie chcesz żadnej uczuć... Przeszkolona ka- dzień Świętego Walentego „jedynę” urazić? Jest na dra pocztylionów na spec- jest raz do roku. Czy nie to sposób! Już dnia 14 jalnych kartach dostarczy warto dla takich dni od- lutego będzie działać Wasze wszystkie najsło- rzucić sceptycyzm..? wyjątkowa Poczta Walen- dsze słowa - prosto do tynkowa. Będą nam towa- adresata. Oczekujcie tego

Wieczorek poetycki

Jakie święto kryje się tym właśnie dniu organi- zachęcamy do prezentowa- pod datą 14-go lutego - zuje Lipna Redakcja. Już nia swoich ulubionych mówić nie trzeba. Trzeba teraz zapraszamy wszy- utworów i... własnej jednak wspomnieć o wie- tkich zainteresowanych i twórczości, której także czorku poetyckim, którego zachęcamy do przybycia - nie zabraknie tego czwar- z tej właśnie okazji i w przede wszystkim jednak tkowego wieczorku. Warto!

To trwa, od długich już lat.
 Od dawna żyje tym świat.
 Gdy nadchodzi ten dzień, długo wyczekiwany,
 mężczyzna z twardego, staje się wrażliwy. oddany.
 W połowie najkrótszego miesiąca mroźnego
 Kobieta śle prosto z serca gorące słowa, do ukochanego.
 Tego dnia, wiele kobiet płacze ze szczęścia, bo mniej jest drani.
 Zakochane pary. Czas w ten dzień zupełnie nie istnieje dla nich.
 Jest coś takiego w tym niezwykłym dniu,
 że w pogrążeniu miłości, brakuje mu tchu.
 Czerwień róż. Czerwień serc.
 Delikatność róż. Płomień serc.
 Choć dookoła chłód, mróz na zewnątrz,
 ogień pożądania rozgrzewa od wewnątrz.
 Choć miłość można ukazać, każdego innego dnia,
 to w środku lutego, żarem miłości ogrzewa się świat.
 Ta romantyczna tradycja, we Francji gdzieś ma swoje korzenie.
 podtrzymywana tam, gdzie z drugim spotyka się spojrzenie.
 To epicentrum tańca zmysłów. Osiągane dnia tego,
 opatrzone imieniem świętego Walentego.

Linus

Lubię go

Lubię gdy otacza mnie on.
 Lubię czuć go ze wszystkich stron.
 Lubię czuć go na swoim ciele...
 Jest on moim przyjacielem.
 Na mojej skórze delikatne dotknięcia.
 bezbarwne rany, jak podłużne cięcia.
 Rozkoszny chłód.
 Dotyk. Jak na ustach miód.
 Mogę tak z nim w bliskości trwać.
 Nie czując czasu, w miejscu stać.
 Czuję jak mnie dotyka.
 Niebiańska rozkosz! Która prędko nie znika.
 Nie chcę słyszeć o konsekwencjach, nieprzyjemnościach.
 Myśląc o nim, myślę tylko o rozkoszy i przyjemnościach.
 Ten delikatny dotyk doprowadza mnie do wrzenia.
 Błagam... Niech to trwa. I niech się nie zmienia.
 Niech trwa. Bo to takie cudowne z losem igranie.
 Niestety, zawsze kończy się. Bo jego też dotyka przemijanie.
 Chcę by został. Bo to mój idol, guru. Możesz go poznać, jeśli chcesz.
 Ale szybko. Bo niestety przegra. Przegra z tęczą, promieniem słońca...
 Ten chłodny, letni deszcz...

Linus

W przezroczystej tafli lustra
 widzieć uśmiech na swej twarzy,
 Szczery pocałunek
 kogoś kto miłością Cię darzy,
 Od wiernego przyjaciela
 ciepły uścisk ręki,
 By móc iść przez życie
 wymazując z duszy lęki,
 Widzieć światło tam
 gdzie inni go nie widzą,
 Kąpać się w muzyce,
 upajać się ciszą...
 Dać sercu płonąć
 nie patrzeć za siebie,
 Dać wiatru się ponieść
 by znaleźć się w Niebie,
 Naraz śmiać się i płakać,
 wysoko cele swe stawiać,
 Nie tylko brać od życia
 ale także i dawać,
 Coraz bardziej się starać
 aby lepszym się stawać,
 Spokojnie śnić...
 Tak niewiele trzeba,
 aby szczęśliwym być!

Kala

*Wyświetlone tych słów kilka,
na czarnej, pstryk, białej kartce,
tak nierzeczywistej, jak ów słowa,
niechcący zrodzone z przypadku,
wyklepane litera po literze.*

*Paplanina zmęczonego umysłu,
język wypaczonej maswyobraźni,
recytowany przez webtomiki,
nie będące naprawdę,
a tylko na chwilę zupełnie gdzieś.*

*Przewodniczy jak romantyczny głos,
pracuje u podstawy podstaw,
jest dla samej siebie w oparach opium,
czy to już jest ta sztuka,
która rymu i sensu szuka, wciąż?*

*Maniakalnie potrzebująca widowni,
w anonimowej szklanej, szarawej czytelni,
informacji bezsensownej,
dama, niby pierwsza,
kultury, pisanej z za dużej litery.*

*Naśladująca prawie prawdziwy świat,
nie do końca ładny, czy piękny,
a całkiem zwykły, trochę codzienny,
nieudolnie szukająca metafor,
i pięknych, gładkich, słodkich słów.*

*Jaka jest jeśli jest,
w dowolnej, kolorowej, napisanej szacie,
w trzydziestodniowym, licencjonowanym, niby owadzie,
tajemnicza siła młodych umysłów,
upojonych we wczesności w komunistycznym chaosie*

Pieśń nadziei

*Noce pełne niedokończonych snów,
zgaszonych w połowie
niewinnych płomieni.
Matko zlituj się
nad nami biednymi,
bezradnymi uchodźcami swojej naiwności.*

*Niech los inaczej nas uwolni
od swojej zachłanności.
Niech znajdzie sposób
na nieme ryby w stawie.
Bo czymże jest sen przerwany
przed rankiem brutalna rzeczywistością.*

Żyra

*Niczym sarna we mgle,
o poranku w górskiej dolinie.
Nieostra, rozmyta leśna zjawia,
jakby namalowana bez farby,
na przezroczystym płótnie,
przez niewidomego artystę.*

*Jest mrzonką niekonkretną,
wyplecioną z wiklinowej niepewności,
o tak silnej woli istnienia,
że gotowa jest znosić
podmuchy monsunowego wiatru.
Byle by być.*

Żyra

Na Nie Naszej Wojnie

*Biały od za czerwonej krwi.
Gdzie?
Na nie naszej wojnie!*

*Dzień eksplozją brzmi
Gdzie?
Na nie naszej wojnie!*

*Śmierć w szczegółach tkwi
Gdzie?
Na nie naszej wojnie!*

*Rozpościera się mój rym
O nie naszej wojnie,
Wymuszonym odejściu ze swej rodziny
W czasie nieubłaganego werbunku godziny
A w piekle rozbrzmiewa nasz polski hymn
Bo kłamliwe słowa zmienili w kłamliwy czyn*

*To jest nasza wojna
Najważniejsza do tej pory
Twierdzą już niemal przegrane kaczory*

*Poświęcone za blade gwiazdy dusze,
Trupy rozpostarte na czerwonych linii sznurze
Wkrótce krzykną pełną gębą,
Że pora wreszcie zrobić to cholerne referendum
Bo nie poczujesz bólu ciał leżących pod gruzem
Dopóki się nie przekonasz na swej własnej skórze*

*Skoro to sprawa polskiego narodu
Choćby najgorsze co się jutro stanie
Musi być poparte przez dzisiejsze głosowanie,*

*W rzece propagandy zatracone życie,
Zapomniane dusze i cielesne zgnicie
Przepełnią kufel nienawiści symfonicznej
Będącej skutkiem wadliwej polityki zagranicznej
Stawiającej najniższych na najwyższym szczycie
Tak by mogli lepiej zrywać błękitne poszycie*

*W płuca władzy wleć jak toksyczny dym
Mówiąc
O nie naszej wojnie!*

*Rozrywaj ustami propagandy szwy
Mówiąc
O nie naszej wojnie!*

*Spląć dług wystawiony przez siarczyste łyzy
Mówiąc
O nie naszej wojnie!*

Talyb

Oto i druga część nieszablonowego opowiadania równie nieszablonowego *pykającego romka poziomka*. Przed Wami ciąg dalszy losów tajemniczego Dona i ujmującej Blondy. Poczujcie Powiew abstrakcji..!

Hohohoohoho!

...Mruczenie starego, wyliniałego kociska o wydętym brzuszysku było coraz głośniejsze. Momentami Don „wstawał”, rozglądał się po pokoju i nasłuchiwał „Co?”, a przede wszystkim „Dlaczego?” śmie zakłócać jego spokój, który z racji tego, iż odnosił się do Dona, był już sam w sobie zaprzeczeniem siebie samego. Pierwsze podejrzenia padły na biedną Blondy, która mocowała się właśnie z podłą smyczą unijnego koloru. Don skierował swoje spojrzenie prosto w jej oczy. Gdyby Blondy stała, a nie siedziała przywiązana do łóża, powiedziałbym, że stali oboje i wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, ale ona siedziała; fakt ten jednak nie dawał jej żadnych pretekstów do czucia się bezpieczną...

...Lekkim skinieniem głowy dała Sycylijczykowi do zrozumienia, że źródła owych dźwięków powinien szukać pod swymi nogami. Na posadzce leżał na wpół żywy kot, który – podczas gdy Don zrywał się z fotela – z nikomu nieznanym przyczyn znalazł się na podłodze. Ruszał lekko prawą łapą (a raczej łapą, gdyż była ona niewiele cieńsza od ud Blondy). W swojej złości Don miewał jednak przebłyski rozumu. Kiedyś matka na łóżu... Na łóżu powiedziała mu, że wygląd to nie wszystko, więc od czasu do czasu z szacunku dla matki uruchamiał swe szare komórki. Blondy jeszcze raz wskazała na stojącą w kącie pokoju, poślódką, starą miskę, nad którą wisiło w powietrzu stado much i innych insektów. Don był bezbłędny dedukując, iż jego kocisko jest głodne. Powolnym krokiem udał się do kuchni...

"Trach, trzask prask, łubudubu". Potężne cielsko Dona zważyło się na ziemię niczym domek z kart potraktowany delikatnym dmuchnięciem. Pośród rozlanego na posadzce "czegoś" leżał Don niczym Guliwer, nie dając żadnych oznak życia. Niczym korytami rzecznych odpływów popłynęła fugami cienka strużka krwi, sącząca się powoli z rany na samym środku – błyszczącej w świetle sztucznych lamp – glacy Dona...

...Minęło sporo czasu zanim Sycylijczyk ocknął się i doszedł do siebie na tyle, aby wstać. Pomimo tego, iż nagłe zbliżenie Dona i podłogi było bardzo silne, nic mu się nie stało i wszystko było w porządku – zakładając oczywiście, że wcześniej mógłbym użyć tego stwierdzenia. Przez cały ten incydent zapomniał zarówno o kocie, jak i o Blondy, a jako że słońce budziło się właśnie do życia, myśląc, iż po prostu się obudził, począł czynić, co czyni każdego pięknego poranka. Pomimo tego, że sam Don był wyjątkową osobowością, jego poranna toaleta nie wyróżniała się niczym specjalnym... No może tylko tym, że praktycznie jej nie było. Gdy już przyodziął się, a świeży kołnierzyk kwiecistej koszuli przykleił się do mokrego, lepkiego karku, nadszedł czas na kolejne, rutynowe czynności inicjujące kolejny dzień zmagania Dona z własnym usposobieniem. Blondy, siedząc przy samym wejściu do salonu, miała możliwość podziwiania przez otwarte drzwi porannych rytuałów Dona, co z ciekawością, ale i ogromnym strachem czyniła. Sycylijczyk udał się do swojego gabinetu. Nazwał go tak, ponieważ ów pokój był miejscem, w którym Don oddawał się rozpuście, korzystając z jednego z nielicznych w tym domu sprawnych urządzeń elektronicznych – komputera. Gwałtownym ruchem rozsunał zakurzone, purpurowe zasłony. Światło wpadło do pokoju tak raptownie i obficie, jakby gościło tu po raz pierwszy. Aby oddać w pełni przerażający wizerunek „oświeconego” pokoju, porównam ten epizod z obrazem wiosennej odwilży, gdy śnieg, zakrywający dotychczas wszystkie brudy i śmieci nagle topnieje, ukazując prawdziwe oblicze tego, co raczył przesłaniać. Kiedy Don usiadł na starym, skórzanym fotelu, w powietrze wzbily się tumany kurzu. Sycylijczyk zakrztusił się. Po omacku począł szukać myszki zrzucając w międzyczasie gotycką wazę z uschłymi różami i dezodorant. Nie wiem co prawda, jak znalazł się on w pokoju Dona, ale faktem jest, iż spadł na podłogę. Myszka Dona obita była różowym futerkiem z czarnymi, lateksowymi wstawkami. Zrozumiała była więc jego złość, kiedy nie mógł jej znaleźć. Po chwili chaosu, jakże identyfikowanego przeze mnie z osobą Dona, widoczność w pokoju jęła powoli stawać się zadowalająca. Sycylijczyk zsunął z nogi dziurawego kapcia i palcem, będącym odpowiednikiem kciuka u nogi, z pogardą i nonszalancką wcisnął guzik o nieznanym mi przeznaczeniu – POW... Niestety, ostatnie litery nie przetrwały codziennych spotkań z paluchem Dona. Komputer strzelił, zafurkotał i...zgaśł. – %&d\$^&@*k(! – zaklął Don i niczym Zidane Materazziego, uderzył głową w monitor. Na kineskopie pojawiły się cienie, acz liczne pęknięcia. Można stwierdzić, iż poświęcenie to opłaciło się, gdyż komputer ponownie się włączył. Mroczne: „Hohoho” rozeszło się po całym gabinecie, ba, mógłbym rzec: nawet po całym mieszkaniu. Blondy słysząc śmiech Dona, podskoczyła ze strachu. Don tym samym palcem, którym to włączał swego Peceta, nacisnął na przycisk, usytuowany równoległe do stacji dysków CD. Wysuwająca się kieszka służyła mu za podstawkę pod kubek z kefirem, który był podstawową częścią codziennego menu Sycylijczyka. Wlewał go do szklanki i małą, połączoną łyżeczką, przesuwając ją powoli po ściankach kubka, delektował się kwaśną śmietaną, jakby jadł najbardziej wyszukany deser lodowy. Ale to, co ujrzała później nasza Jasnowłosa było jeszcze bardziej zaskakujące. Rosły, okrutny mafiozo, o budzących strach i respekt kocich wąsiskach, odziany w rozpiętą pod szyją Hawajkę, wszedł na stronę z Pajacykiem, na którego klikając wykupił obiady dla biednego dziecka na cały rok. Blondy popłakała się ze wzruszenia. Jej łzy, spływając powoli po białych policzkach, zeskakiwały z nich na wysokości ust i ginęły – gdzieś w niebywałego rozmiaru dekolcie Blondy. Opisanie stron, które Don później odwiedzał, mogłoby znacznie popsuć jego pozytywny wizerunek, jaki właśnie się wytworzył, dlatego mając w pamięci jego czułe i hojne gesty, nie będę o tym póki co wspominał...

pykający romek poziomek

Udział wzięli:

Zespół redakcyjny:

Opiekun Lipy: Pani Profesor Elżbieta Pawlak

Redaktor Naczelna: Aneta Chmielewska

Zastępca redaktor Naczelnej: Natasza Kwiatkowska

Redaktorzy: Olga Dubrowska, Kinga Gruszecka, Luiza Nowak, Łukasz Romańczuk, Aleksandra

Różycka, Katarzyna Stachyra, Małgorzata Szadkowska, Świrek, Katarzyna Tracz, Monika

Tracz, Beata Wadowska, Dominika Wilk, Kamil Zieliński, Karolina Żelechowska.

Współpraca: Jakub Drewniak, Damian Sych